



BOCZNY TOR 340 / List do J.

To są bardzo prywatne, osobiste impulsy, nie da się z nich wytłumaczyć, nie ma komu ich powierzyć, bo choć chciałoby się zrozumieć, nie zrozumie się, nawet gdy na głos, całość umyka wyszczególniona, niesłyszalnie ginie. A tak wspaniale byłoby umieć złagodnieć, by łatwiej znosić beznadziejne pożary.

Nie ma głupszej formy zabijania czasu niż podpala-
nie mrowisk. Spopielone kopce w lasach to obraz,
przy którym i niewierzący pada na kolana: jakże za-
łośnie tracimy kontakt z sensem życia, obracamy po-
śpiesznie w zapomnienie każdą chwilę. Snujemy się,
mnożymy byty, dręczymy wizjami szczęścia, zagar-
niamy, co się da. Nie będziemy nigdy na zawsze i to
przeraża bardziej niż śmierć. Nic nie znaczy troska.
Nic nie znaczy krzyk. Nic nie znaczą starania. Słowa.



W związku z nadciągającą jesienią poczyniłem plany na resztę roku. To znaczy wypisałem sobie tak zwane rzeczy do zrobienia. I terminy, terminy, terminy. Wyszło na jaw, że nie wyjdzie. Cóż, czas ostatecznie uznać wyższość rzeczywistości nad wyobrażonym. I jak bohater filmu „Parasite” — że: najlepszym planem jest brak planu. Tylko tak w stu procentach nie może się nie powieść realizacja zamierzeń.

Dawno, dawno temu było inaczej. Tak samo ludzie przeżywali swoje życie. Też mi odkrycie! Wiemy nic.

Dziś wypoczywam. Dzisiaj mnie nie ma. Jak sowa nóg. Ale wczoraj byłem wśród ludzi. Męczące. Zabawne. Za długo czekam, żeby nie mieć jako takiej wprawy w nadziei, ale wciąż zaskakuje: daremność.



Sytuacja jak ta...

[Tu słów zabrakło,
które pomysłom by sprostały.
Albo ich brakowi.
Ślę ciszę.]

Wypożyczyłem książkę. Nówka! (Tak przy okazji, jako podróżny donikąd dziękuję serdecznie Biblioteko, niezamknięta stacja, gdzie wciąż pracują ludzie godni powszechnego zaufania; są też jeszcze tacy w straży pożarnej, wśród ratowników górskich, gdzie reszta?) Ależ to się czyta! (Nie to oczywiście, co tu skrobię, rzecz tyczy książki wziętej na krótką własność.) Jak pięknie zwalnia czas, gdy pomału rozpakowuje się zdania... Ulga. Duża ulga po prysznicach nagłówków i rwanych niby-tekstach wypadających z okienka.

Pomału czytam. Pewnie dlatego, że — żeby ze zrozumieniem i jako takim, na miarkę czasu, wczuciem się w puchnącą od słów materię — muszę po parę stron tylko (dekoncentracja jednak góra!). No i chcę po parę stron. Taki luksus (z) przymusu.

Zatrzymało mnie na przykład takie zdanie: „**Ojciec rozchorował się od tego ciosu [odejście do innego ukochanej osoby — dast]; bunt żony musiał go zranić gdzieś w centralnym punkcie równowagi, tam, gdzie człowiek ma zarzuconą kotwicę, gdzie jest całkowicie sobą, gdzie nie da się zmienić**”^{*}.

Zbytecznie pytać retorycznie, zwłaszcza w liście do Ciebie, ale zaryzykuję. Od czego jest literatura, od czego pisanie, zmyślanie słów — jak nie po to, by czytelnik mógł zapytać: a ja? Co ze mną? Gdzie jest kotwica, która mnie trzyma? Centralny punkt równowagi — co to? Całkowicie być sobą — to znaczy?

^{*}cytat: **Sándor Márai, *Rozwód w Budzie*, przełożyła [BRAWA!] i posłowiem opatrzyła Irena Makarewicz, Czytelnik, W-wa 2019 (wyd. oryg. 1935), s. 31.**



Pierwszy raz zakochałem się po uszy w *Księdze ziół*, to było dokładnie w tym brutalnym okresie, gdy wyparowała naraz naiwna wiara w miłość — rozumianą przez mnie jako podwodne poza czasem ciepłych wód bezpiecznego basenu. A tu prysk! Ślepe oczy nad powierzchnią. I *Księga* przypadkiem jak haust powietrza; potem równanie oddechu, akapity przeciwbólowe i przeciwmgielne światło po kropkach.

Teraz, a minęło wiele pustoszących, między innymi, lat, domyślam się, że ciut desperacko zdałem się na dopust zapisków węgierskiego Mistrza. Rozumiałem, jak potrzebowałem. A że znajdowałem w nich własne zguby? Tym lepiej. Ale z jednym najbardziej się kryłem: czułem niepokój, że nie rozumiem swojego „w tym wszystkim” udziału, że nie ma niczego,



czego nie dałoby się zmienić, nie ma czegoś takiego we mnie, że życie dotyczy mnie czasem mniej, czasem bardziej i tyle. Nie wiem, po prostu nie wiem, jak właściwie żyć, robię to po raz pierwszy. Zielnik przerabiałem w podstawówce: rwało się, suszyło i taką żółtawą taśmą — przezroczystą tzw. samoprzylepną (różnie z tym bywało), no, taką z ginącym początkiem — kończyło. Zmilczę wnioski. Lub ich brak.

Z innej beczki: PIW wydaje „Słownik miejsc wyobrażonych” Alberto Manguela i Gianniego Guadalupiego (czyżby pseudonimy?) — niebywałe wyzwanie dla tłumaczy (w tym Jana Gondowicza, księgoszpera i tekstomagika, który deklaruje, ku chwale kompleksom, czyniąc fale na moich płyciznach, że zna dobrze ze sto tysięcy słów; w co wierzę jak neofita).



Dlaczego o tym piszę? Próbuję wyobrazić sobie własne miejsce wyobrażone... Coraz mocniej dociera do mnie, że to wcale nie gdzieś hen za górami i lasami. Dzisiaj, trochę później dzisiaj, wypoczywam. Nadal. Na jutro. I podjadam z głębokiego talerza przesłodkie drobne winogronka, które przywiozła dla mnie z ogródka ta, co złamała swego czasu swój sztylecik w moim sercu. Jak to jest: łagodniejemy, gdy jemy? Chyba tak. Gdy mijamy.

Winogrona obrodziły w tym roku. Co będzie za rok: nie wiadomo. Teraz, dzisiaj, przez chwilę wyobraziłem sobie, że odłamek metalu jak cenny meteoryt tkwi w sercu pożytecznie i zasila krew drobinami kosmosu.

/ dast

Now I know what owl legs look like and life can never be the same again.



BT nr 340 / 15.09.2019 / pismo Którego nie ma
zdjęcia: Igi (s. 12), zrzut z FB: Random 30 (s. 14), dast